ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 17-go Czerwca 1897. Nr. 24.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Dobrzy przyjaciele.

Prefekta Rzymu, pierwszego urzędnika miasta, potomka jednego z najstarszych szlacheckich rodów, który w oczach całego ludu za jednego z najszlachetniejszych i najwięcej prawych urzędników uchodził, skazać do robót niewolniczych, razem ze zbrodniarzami, — to było w oczach wszystkich Rzymian gwałtem tyrana, który wszystkie jego czyny dotychczasowe przewyższał. Starzy patrycyusze i senatorowie byli oburzeni do głębi z powodu hańby, wyrządzonej ich stanowi i gdyby Herakliusz był miał szpiegów, którzyby mogli byli posłyszeć, co o tem w ścisłych kołach szlacheckich rodzin mówiono, byłby mógł w swoją listę spiskowców sporą liczbę nazwisk zapisać. Coraz chętniej spoglądali wszyscy na Konstantyna, jako jedynego obrońcę i wybawiciela z tyranii, z dniem każdym nieznośniejszej; poganie i chrześcianie, szlachta i lud, wszyscy życzyli sobie gorąco, aby czemprędzej stanął u bram Rzymu i okrutnemu a krwawemu panowaniu koniec położył.

Dziwnym sposobem nikt z wysokiej szlachty, ani nawet z krewnych, nie pomyślał o tem, ażeby Waleryi, biednej i opuszczonej sierocie, przytułek ofiarować. Kościół św. był jedynym, który z macierzyńską miłością sierotą się zajął; biskup Milcyades, skoro tylko o uwięzieniu Rufina i zabraniu dóbr jego się dowiedział, wysłał natychmiast dyakona Sewera, aby Waleryi odszukał i w chrześciańskiej rodzinie ją umieścił. Któż z chrześcian nie przyjąłby jej chętnie do swojego domu?

Lecz Walerya, pełna gorącej miłości do ojca, nie byłaby nigdzie znalazła spokoju, zanimby nie wyczerpała sposobów uratowania go od śmierci. Jakkolwiek bowiem Kościół św. męczeństwo za rzecz nadzwyczaj wzniosłą uważał, jednakże obowiązkiem świętym być sądził, aby nie zaniedbano żadnego dozwolonego środka, któryby życie od śmierci z rąk prześladowców uratować był w stanie. Cypryan, mówiący z najwyższym zachwytem o męczeństwie i nazywający błogosławionymi tych, którzy do krwawego wyznania swojej wiary zostali powołani, ten sam Cypryan starał się życie swoje za pomocą ucieczki uratować, aż go oczywista wola Boża przed sądem i torturą stawiła. Pierwsi chrześcianie umierali za wiarę z nadzwyczajną odwagą i stałością, lecz nie zaniedbywali niczego, ażeby zamachy nieprzyjaciół pokrzyżować.

Walerya wspominała sobie jednego przyjaciela ojca po drugim, lecz o którymbądź pomyślała, zawsze po namyśle zwątpiła, czyby u niego pomoc znaleść mogła. Jeden nie miał wpływu u cesarza, drugi nie był dość odważny, inni, jak Symachus, z nienawiści do chrześciaństwa byliby jej wszelkiego poparcia odmówili.

Biedna Walerya przekonała się po raz pierwszy w życiu, że szczęśliwemu każdy rękę ściska, a nieszczęśliwemu nikt ani palca nie poda.

W potrzebie i cierpieniu najprędzej jeszcze u tego znajdziesz współczucie i pomoc, kto sam w utrapieniu pozostaje.

Gdy Walerya napróżno między przyjaciołmi i znajomymi szukała, ktoby się za nią u cesarza wstawić mógł, przypomniała sobie cesarzową. Cały Rzym wiedział, jak niegodnie cesarz z małżonką swoją się obchodził. Ta pani z pewnością się ulituje nad bólem Waleryi i może jej się uda, wyprosić u cesarza łaskę dla Rufina.

Choć z niewielką nadzieją zwróciła Walerya kroki swoje ku pałacowi cesarskiemu.

Nieszczęśliwa monarchini zamieszkiwała najskromniejszą część pałacu; tylko przy publicznych uroczystościach mogła i musiała pokazywać się przy boku cerza, który w ten sposób usiłował okłamywać ludzi, jakoby bardzo szczęśliwie żył z małżonką swoją.

Skoro tylko cesarzowa się dowiedziała, że córka prefekta miasta i Sofronii o posłuchanie prosi, nakazała ją zaraz wpuścić. W urodzajnych ogrodach szczęścia nie często udaje się kwiat miłosierdzia; dobrym dla niego gruntem jest skaliste, zachwaszczone pole własnego nieszczęścia.

Na kobiercu bogatym leżała cesarzowa a dwie niewolnice jej usługiwały. Maksencyusz nie pozwolił jej mieć więcej służby. Była to wysoka, blada kobieta; z młodej jeszcze twarzy starł smutek i kłopot piękność i urok; cesarzowa malowała sobie twarz, chcąc jej nadać pozory młodości i świeżości.

Od śmierci jedynego syna Romulusa, ubierała się cesarzowa przez długi czas tylko w czarne szaty. Potem otrząsnęła się ze smutnych myśli i zaczęła znajdować uciechę w strojach, perłach i klejnotach. Wszakżeż jeszcze była młodą i miała prawo do uciech życia! Dwie niewolnice zaś, biała Syra i czarna Numidika nie ustawały prorokować i ze znaków przepowiadać jej przyszłości w różowych kolorach. Lecz te przepowiednie nie chciały się sprawdzić; samotność zaczęła gnębić duszę cesarzowej; biedna kobieta, nie mając żadnych wyższych celów, popadła w melancholię, graniczącą z rozpaczą.

Teraz właśnie znajdowała się cesarzowa w takim stanie. Jak nieprzytomna spoglądała gdzieś w dal, nie zwracając uwagi na swoje otoczenie, ani nie patrząc w zwierciadło, które niewolnica przed nią trzymała, aby mogła zobaczyć, jak jej Numidika dzisiaj włosy uczesała. Dopiero teraz dowiedziała się, jak niepomyślnie przedstawiało się położenie polityczne i jak bliską jest godzina, w której los cesarza się ma rozstrzygnąć. Dotąd ukrywano to wszystko przed nią, lecz jakieś nieostrożne słówko naprowadziło cesarzową na domysł, który na skutek jej próśb zamienił się w pewnik. Nagle czarne nieszczęście w całej swojej wielkości stanęło przed oczami jej ducha. Przy tem zauważono groźne znaki, co u Rzymian wielką znajdowało wiarę: oto wczoraj po południu, gdy słońce jasno świeciło, gromady nocnych sów opuściły nory i gniazda, jakie miały w obszernych budynkach Palatynu i odleciały daleko; czyż mógł być gorszy znak, że nieszczęście zagraża?

Gdy Walerya weszła, oddaliła cesarzowa niewolnice, aby sama wysłuchać mogła prośby przybyłej. Usłyszawszy, o co chodzi, odpowiedziała z gorzkim uśmiechem:

— Moje dziecko, gdybym męża mego o życie twojego ojca prosiła, natenczas domyślałby się w nim współzawodnika. Jestem biedną kobietą bez znaczenia. Moje ręce w okowach, a

choć te okowy są złote, niewola przez to nie lżejsza. Przy całem mojem bogactwie zazdroszczę ostatniej żebraczce jej ubóstwa; w porównaniu zemną jest ona szczęśliwą. W purpurze i złocie noszę koronę, którą szyderstwo nieprzyjaznego przeznaczenia mój smutek uwieńczyło.

Ponury smutek, przebijający z tych słów nieszczęśliwej cesarzowej, wzruszył serce Waleryi i zapominając o swojem własnem nieszczęściu, rzekła:

— Dostojna pani, wszechmocna ręka, utrzymująca robaka w pyle, czuwa także nad życiem ludzi, a gdy Bóg zsyła nam doświadczenia, to też zarazem podaje nam łaskę nadziei dla oparcia.

— Co poeci o ojcu bogów i ludzi głoszą, — odpowiedziała na to cesarzowa, — jest pięknem złudzeniem. To lalka dla dzieci szczęścia. Naucz się znosić hardym umysłem nienawiść losu, to najlepsza rada, jaką ci dać mogę. Gdy ciężar życia stanie się za wielkim, wtedy go się odrzuca.

To powiedziawszy cesarzowa, pożegnała Waleryę, podając jej rękę do pocałowania.

Walerya wyszła z sercem przepełnionem uczuciem miłosierdzia, zmięszanem z grozą. Widzieć kogoś w najcięższem cierpieniu bez pociechy, — bez nadziei, — z samobójstwem jako ostatnim środkiem, — czyż mogło być położenie nieszczęśliwsze?

Walerya zwróciła rzewny wzrok ku Niebu: jakże jasnym i łatwym zdawał się w tej chwili jej własny los!

Gdy wyszła z pałacu, zastała u bramy dyakona Sewera i Irenę, którzy szukając Waleryi, tutaj się spotkali.

— Choć w domach bogatych współwyznawców — odezwała się Irena — więcej byś miała wygody, ośmielam się jednak ofiarować ci moje własne skromne mieszkanie. Składa się ono wprawdzie tylko z kilku izdebek wynajętych w pewnym domu na Awentynie...

— Gdzieżbym, — przerwała jej Walerya, — mogła chętniej chcieć pożywać łaskawy chleb chrześciańskiej miłości bliźniego, jak u stołu i z ręki tej, którą serdecznie proszę, ażeby mi odtąd matką być chciała?

— Nie będę tedy mówił — odezwał się na to dyakon, — jak serdecznie by cię, szlachetna Waleryo, w wielu rodzinach do domu przyjęto.

Herakliusz tymczasem przedłożył cesarzowi długą listę spiskowców. Uczynił to zaraz po obiedzie, ponieważ wiedział, że wtedy cesarz w najlepszym bywa humorze. Jemu samemu zależało najwięcej na skazaniu Rufina, który odmawiając córki synowi jego, jak najciężej go obraził. Oznajmił tedy cesarzowi przedewszystkiem, że Rufinus sam wyznał, jako jest chrześcianinem; potem przedłożył mu protokuł sędziego śledczego, zawierający obraźliwe zdania Rufina względem osoby cesarskiej.

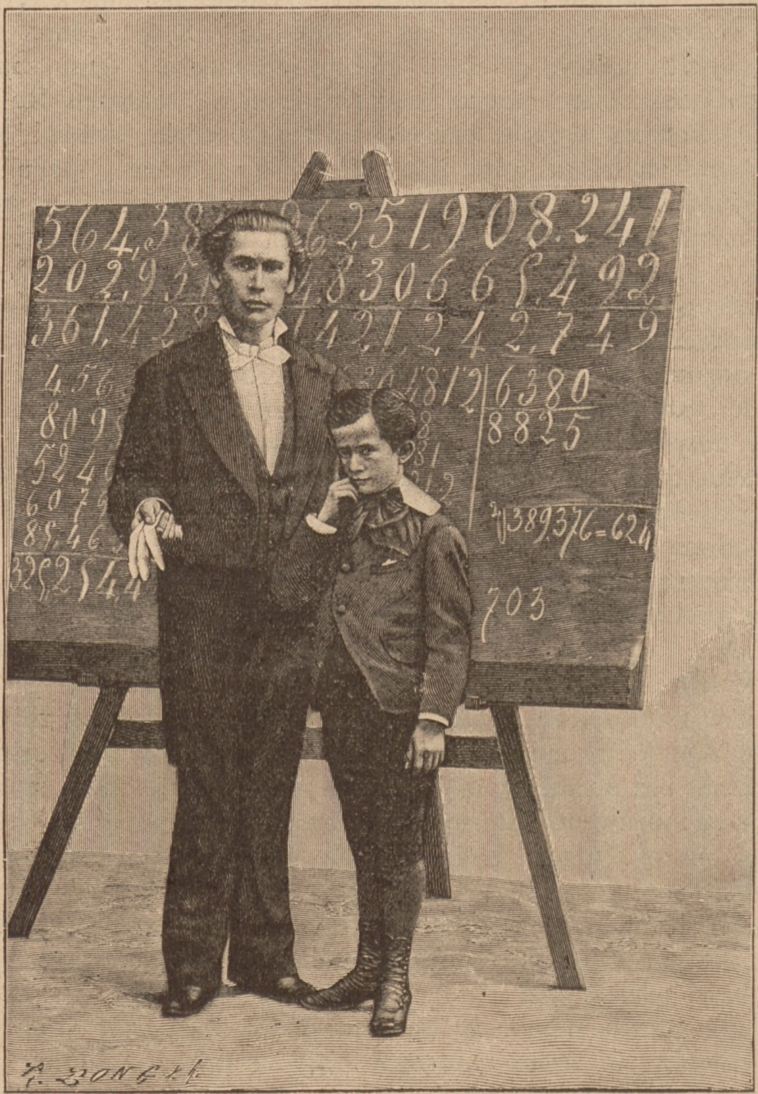
— Smoczy ród Nazareńczyków wyrasta nam nad głowę: trzeba go grzmotnąć maczugą! — zawołał Maksencyusz, uderzając pięścią w stół. — Prefekt miasta chrześcianinem, Rzym przepełniony chrześcianami i Konstantyn na drodze do Rzymu! Taki pies, jak ten Rufin, ośmiela się mnie obrażać. Ha, oduczę go tego szczekania. Wydaj zaraz rozkaz, ażeby tego nikczemnika i zdrajcę posłano do robót przy budowie bazyliki. Do wieczora powinieneś mi przedłożyć długi spis tych wszystkich, których uwięzisz! Sięgnij głęboko między rycerzy i senatorów, albowiem czy są chrześcianami czy nie, spiskowcami są wszyscy! Jeżeli niektórym pysznym kogutom nie ukręcę głów, a innych porządnie nie oskubię, gotowo mi to ptactwo wlecieć na głowę!

W ciągu popołudnia zabrali oprawcy Herakliusza ze wszystkich części miasta rzekomych uczestników w spisku prefekta Rufina i wtrącili do tuliańskiego więzienia. Między uwięzionymi znajdowało się wielu chrześcian, przeważnie z kwitnących rodzin szlacheckich. Pierwszym z nich był Waleryusz Antoninus, urzędnik cesarskiego dworu.

Gdy wieczorem acta diurna czyli gazeta ogłosiła wiadomość o Rufinie i jego spisku, nikt nie wierzył, aby

Rufin rzeczywiście był chrześcianinem. Przecież przy ostatnich wielkich uroczystościach widziano go, jak w świątyni Jowisza na Kapitolu składał ofiary! Prawość i zacność prefekta była tak ogólnie znaną, że nikt nie przypuszczał, jomi z uwięzieniem Rufina połączyli, wyniknęło dla nich, iż to Herakliusz z zemsty zgubił prefekta.

W tej samej gazecie ogłoszono też rozporządzenie cesarskie, mocą którego Aradiusz Rufinus urzędu prefekta poz-



Nadzwyczajny rachmistrz (obacz objaśnienia rycin na str. 384).

ażeby mógł spisek przeciwko cesarzowi utworzyć. Nadto przyjaciele Sabina rozgłosili, co im matka jego o zaręczynach syna powiedziała a także i o tem, jak Sabinus się gniewał, gdy mu życzenia składali; to wszystko gdy zna- bawiony, a w jego miejsce Anniusz Anulinus głową miasta zamianowany został.

Wieczorem gromada motłochu, najęta przez Herakliusza, włóczyła się po ulicach Rzymu, wykrzykując: »Christi-

anos ad leones«, »rzućcie chrześcian lwom!»

Symachus zgrzytał zębami z gniewu nad tym nowym gwałtem tyrana. Winę, jakiej się względem żony Rufina dopuścił, starał się Maksencyusz zatrzeć, usuwając i Rufina samego z drogi. Uczynił to, obwiniając Rufina o dwie podłe zbrodnie: zdradę stanu i — co w oczach Symachusa jeszcze gorszą rzeczą było, — o przystąpienie do sekty chrześcian. To go szczególnie gniewało; wszakżeż on wiedział, jak mocno Rufinus stał przy religii rzymskiego państwa.

Od młodych lat był Symachus zaprzyjaźniony z Rufinem. Dla tego uważał sobie za obowiązek, udać się do cesarza, ażeby próbować, czy przyjacielowi życia uratować nie zdoła. Jeszcze tego samego wieczoru prosił o posłuchanie.

Maksencyusz zdziwiony niemało, że potężny senator, który dotąd od dworu tak dumnie stronił, do niego się zbliża, przyjął go nadzwyczaj grzecznie.

— Myślę, że na gniew twój się nie narażę, — zaczął Symachus, — skoro się poważę twojej boskości zwrócić uwagę na błąd w pewnem oskarzeniu, które gdyby prawdziwem było, zaiste upoważniałoby do skazania oskarzonego.

— Zapewnie, szlachetny Symachu, — odpowiedział cesarz, — masz na myśli Rufina, który stracił urząd i do robót ciężkich skazany został. Zaszczyt ci przynosi, że jako rzecznik przyjaciela w jego obronie stajesz. Lecz nie wątpię o tem ani na chwilę, że senator Symachus spisek z wrogami państwa i zdradę bogów, które Rzym wielkim uczyniły, porówno zemną uzna za zbrodnie, zasługujące na karę śmierci.

— Nie jest prawdą, iż Rufinus należy do chrześcian.

— Ciekawym, jakie dasz na to dowody.

— Znam go od młodości jako wiernego czciciela bogów, który wielkość Rzymu jedynie i wyłącznie w utrzymaniu starej religii państwowej upatruje.

— Ale jeśli dzisiaj bogów tych przeklina i otwarcie zwolennikiem tej przeklętej i zakazanej sekty chrześciańskiej być się mieni, czy i wtedy nie uznasz, że i ową drugą zbrodnię popełnić był w stanie?

— Przebacz mi śmiałą prośbę: czy mógłbym to wyznanie usłyszeć z jego własnych ust?

— Pies ten już teraz niezawodnie będzie przy robotach około nowej bazyliki; pozwalam na to, o co prosisz, abyś się sam i innych Rzymian przekonał, z jakiego gnoju oczyściłem stajnię Augiaszową miasta Rzymu.

— A gdyby Rufinus oświadczył, że jest gotów złożyć bogom ofiary?

Maksencyusz zmarszczył czoło, lecz zadał sobie gwałt i odpowiedział:

— Natenczas daję ci cesarskie słowo, że daruję mu życie. Idź tedy do niego; dodam ci do boku centuryona z mojej przybocznej straży, aby cię wpuścili do skazanego.

Na znak cesarza wszedł centuryon Marcyalis, człowiek ogromny, przewyższający cesarza o półtorej głowy. Na błyszczącej od złota zbroi, miał zawieszoną lwią skórę, jako płaszcz; rozwarta paszcza lwia tworzyła ozdobę na hełmie, w ręku dzierzył ogromną maczugę.

— Tego chłopaczka dodaję ci za towarzysza, — rzekł cesarz z uśmiechem, — patrz, jakie cacko trzyma on w swojej dłoni. Ten klucz otwiera wszystkie drzwi.

Symachus pożegnawszy się z Maksencyuszem, udał się w towarzystwie Marcyala do nowej bazyliki.

Pewność, z jaką cesarz o przystąpieniu Rufina do chrześcian mówił, nie pozostała bez wrażenia na Symachu. Lecz choćby nawet tak było, czyż przyjaciel jego teraz, gdy bóg chrześcian żony jego od zasadzek cesarskiego lubieżnika nie zdołał zachować, nie mógł się przekonać o złudzeniach owej sekty? Dziwna i niezrozumiała to była sprawa, że mimo to miał zostać chrześcianinem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

FABRYKACYA IGIEŁ W AKWIZGRANIE.

Akwizgran, stara niegdyś stolica Karola Wielkiego, miejsce koronacyjne Cesarzów, którą Niemcy Aachen nazywają, dziś stała się punktem środkowym fabrykacyi igieł, owego prawdziwego berła najwłaściwszego kobiecego rządu. Nie będzie też od rzeczy zastanowić się na chwilę, w jaki sposób powstaje przyrząd tak rozpowszechniony, bo tak niezbędny, tak delikatny i kunsztowny, a zarazem tak silny i wytrzymały. Pójdźmy do któregokolwiek ze zbiorów starożytności, a zobaczymy tam, jak to daleko odbiegliśmy od czasów, gdzie igłę zastępował ostro ułupany krzemień, stanowiący szydło, lub owe mnóstwo kości i kostek najrozmaitszego kształtu i wielkości, starannie kamienną piłką z jednego końca zaostrzonych, a zaopatrzonych dziurką, wyraźnem uszkiem na przeciwnym, służących najwyraźniej nieudolnemu człowieczeństwu za przyrząd, dziś tyle wspaniałych rzeczy dokazujący. Kiedy w pierwotnej epoce kamienia i kości mozolił się może pół dnia przemyślny robotnik, dla dostarczenia jednej tego rodzaju igły, dziś przyrządy kierowane przez zręcznych robotników, produkują takowych z twardej stali po parę milionów dziennie. Oszlifowanie i zaostrzenie końców nie mogło uledz odmianie, jak dawniej tak i dziś osiąga się to przez tarcie, chociaż w ostatnich czasach zaczęto w tym celu używać elektyczności. Inaczej się ma z robotą dziurek, czyli uszek. Gdy druty, każdy na dwie igły obliczony zaostrzono po obudwu końcach, oddają je specyalnym robotnikom, którzy przy pomocy odpowiedniego palika stemplują takowe w środku, gdzie mają być dziurki i rowek. Druciki te umieszczone przed robotnikiem na małej palecie pochylonej, staczają się jeden za drugim na małe kowadełko pod młotek palika, który poruszany nogą jak pedał, podnosi się i opada kolejno. Na tem polega stemplowanie. Za każdem uderzeniem drut stalowy spłaszcza się i daje kształt główce a raczej dwu główkom jednej pary igieł jeszcze złączonych. Dawniej spłaszczano główki młotkiem; w tym celu trzymał robotnik cztery do pięciu pojedyńczych igieł w lewej ręce za koniec ostry, a drugi przykładał na kowadełko i spłaszczał przez uderzenie. Przekłuwanie odbywało się podobnież po jednej sztuce za pomocą młotka i szydełka, poczem znów inny przyrząd służył do wydobycia kawałeczka stali pozostałego w uszku igły; wszystko to było jeszcze pracą długą i mozolną.

Dziś igły stemplowane umieszczają się na innem znów kowadełku i pod palik mający w osadzie dwa szydełka, które uderzając w miejsce spłaszczone, wybijają dwie dziurki. Posługują się także w tym celu maszyną przewiercającą, która podwójnem ostrzem dwa uszka wywierca. Małe te maszyny, choć na jednej budowane zasadzie, różnią się między sobą, coraz nowszemi ulepszeniami. W jednych opada wiercące szydełko przez ruch korby, dokonywany prawą ręką, gdy lewa układa drucik stemplowany; w drugich czynność ta załatwia się stopą, przez co robotnica ma obiedwie ręce wolne do regulowania drucików staczających się pod palik na kowadełko po pochylonej palecie.

Szydełka wybijające lub wywierające uszka, wprawiane w palik, bywają okrągłe lub owalne, stósownie do natury igieł, a chociaż są ze stali hartownej, łatwo się łamią. Zwykle kobiety kierują maszynami przekłuwającemi; każda z tych maszyn może przekłuć dziesięć tysięcy drutów, t. j. 20 tysięcy igieł dziennie.

Wten sposób z grubszego przysposobione igły, nawlekają się na dwa giętkie druty metalowe, aby przez poddanie ich masami stósownej operacyi, pozbawić główki wszelkich śladów pozostawionych przez stemplowanie. Teraz dopiero następuje łamanie par na pojedyńcze igły, których końce przy uszku zaokrąglają się ręcznym pilnikiem lub

kamieniem szlifirskim, obracanym siłą pary. Oczywiście, że najzręczniejszy człowiek, gdyby mu przyszło nadawać wszystkie kształty każdej igle, nie wieleby ich wykonał dziennie; żadna też inna fabrykacya nie daje lepszego pojęcia o pośpiechu i wyniku spowodowanym przez podział pracy, jak ta, w niej bowiem na jednego człowieka przypada 60 do 80 tysięcy igieł dziennie.

Król Stefan Wielki Batory.

Ustęp z „Dziejów Śląska" dr. F. Konecznego.

Wybór Stefana Batorego królem polskim okazał się bardzo szczęśliwym; był to jeden z najdzielniejszych monarchów, jakich w ogóle zna historya. Zaraz na wstępie swych rządów zajął się reformami różnemi, a zwłaszcza sądownictwem, które uprościł; ustanowił osobne najwyższe trybunały do spraw ważniejszych i do apelacyj, ażeby nie trzeba było chodzić ze sprawą aż do samego tronu i wyczekiwać długo, aż król przyjedzie i będzie miał czas. Wszystkie sprawy rządowe wziął w swe własne ręce i trzymał ster państwa silną dłonią; gdy na pierwszym sejmie zaczęli mu się niektórzy sprzeciwiać, zawołał, że chce być królem prawdziwym a nie malowanym. Otaczały tego monarchę szacunek i miłość wszystkich dobrych obywateli; tem bardziej atoli krzywili się na niego tacy, którzy chcieli sprawy publiczne wyzyskiwać na swoją korzyść, a których nigdy nigdzie nie brakuje. Można rodzina Zborowskich, urażona, że król (jak się im zdawało) za mało daje im godności i urzędów, próbowała wichrzyć przeciw królowi; skutek był taki, że Samuela Zborowskiego ścięto ręką kata, a Krzysztofa Zborowskiego skazano na wygnanie. Dla dobrych był za to dobrym i prawdziwym ojcem; za jego panowania najwięcej właśnie mieszczan i wieśniaków przyjęto do stanu szlacheckiego.

Był też Batory znakomitym wodzem i rycerzem. Podczas bezkrólewia Iwan Groźny zagarnął prawie całe Inflanty; trzeba je było odebrać. Ruszył tam król z wojskiem niewielkiem, ale doborowem. W roku 1579 zdobyto Połock, w następnym roku Wielkie Łukł; podczas trzeciej wyprawy posunięto się daleko na północ i zabrano się do oblegania Pskowa. Iwan Groźny, ponosząc klęskę po klęsce, prosił o pokój; Batory jednakże chciał skorzystać ze sposobności, ażeby złamać potęgę moskiewską i zmusić Iwana Groźnego do sojuszu przeciw Turcyi. Król bowiem Stefan pojął dobrze historyczne powołanie Polski, żeby być przedmurzem chrześciaństwa: wypędzenie Turków z Europy wziął sobie za cel życia. Polska zaś dopóty nie mogła zaczynać wielkiej wojny z Turcyą, pókiby od Moskwy nie była zupełnie bezpieczną; inaczej można było być pewnym, że Moskwa połączy się z Turkiem, ażeby zabrać wschodnie prowincye. Car Iwan Groźny nie tail się z tem wcale i często się odzywał, że Ruś trzeba do Moskwy przyłączyć. Jedna na to tylko była rada: zgromić Moskwę tak, żeby się ruszyć nie śmiała i narzucić jej swoją wolę; tak ją pokonać, żeby car na wszelkie warunki pokoju musiał przystać; a we warunkach nie miało być uszczuplanie państwa moskiewskiego, ale oddanie moskiewskiego wojska pod rozkazy króla na wojnę z Turkiem. Polska i Moskwa miały razem dokonać tego dzieła.

Iwan Groźny pokoju pragnął gorąco, bo wojna była dla niego bardzo nieszczęśliwą, ale ani myślał przystać na warunki te, o których marzył Batory; a przedewszystkiem zrozumiał wybornie, że Batory zna carską politykę i wie doskonale, że dobrowolnie niczego się tam

nie dostanie, tylko trzeba koniecznie przymusić; rozumiał przeto, że Batory będzie go gnębić, aż zgnębi i prędzej pokoju nie zawrze, choćby miał jeszcze kilka wypraw urządzić. Ale poradził sobie Iwan: oto wyprawił poselstwo do papieża Grzegorza XIII., udając, że on chce ruszyć na Turka, tylko mu Polacy przeszkadzają tą wojną; co więcej, udawał, że chce przejść na wiarę katolicką z całym swoim narodem, tylko ta wojna mu przeszkadza! Papież kazał Polakom zawrzeć pokój od razu, bo papież uwierzył Iwanowi; przestrzegali Polacy, ale papież wierzył Moskalom. Zawarł tedy Batory pokój: Inflanty były odzyskane, Moskwie na długie lata odniechciało się próbować zaborów; polskie interesy były zupełnie zaspokojone — ale interesy europejskie, interes całego chrześcijaństwa przepadł. (Car wprawdzie do ostatka mówił papieskiemu posłowi o katolicyzmie, ale na spełnienie tej obietnicy czekają w Rzymie do dziś dnia.) Wojny te rozbudziły w Polakach rycerskiego ducha, wyćwiczyły polskie wojsko, które odtąd przez długie lata coraz większe czyniąc postępy, doprowadziło do tego, że stało się najlepszem w Europie.

Wojny te są też znamienne w historyi polskiego ludu. Oto król Stefan powołał chłopa pod broń, nie tylko samą szlachtę. Z wieśniaczego stanu uformował piechotę, zwaną łanową, która na wojnach tych sprawiała się bardzo zaszczytnie. Udział w obronie ojczyzny, przelewanie krwi wspólnie ze szlachtą, miało się stać dla ludu szczeblem do życia obywatelskiego. Bardzo też wielu chłopów wracało z wojny do domu szlachcicami. W pochodach wojennych oddawali chłopi nieraz bardzo wielkie usługi wojsku; król Stefan też całe wsie obdarzał czasem szlachectwem.

Jest rzeczą ważną wiedzieć, czy król robił to wbrew woli szlachty, czy też większość narodu zgadzała się na takie postępowanie? Otóż król Stefan opierał się na szlachcie; pierwszym swoim ministrem, kanclerzem i hetmanem, zrobił przywódzcę szlachty, Jana Zamojskiego, z którym o wszystkiem się naradzał. Większość znaczna szlachty zupełnie się zgadzała na postępowanie królewskie.

Ten król był gorliwym katolikiem i zdziałał dużo dla nawrócenia dyssydentów. Jezuitów popierał z całych sił; w Wilnie założył dla nich akademię. W Inflanciech zupełnie zlutrzonych, gdzie dawniejsze biskupstwa luteranie skasowali, założył na nowo biskupstwo i wprowadził do kraju Jezuitów. Ale nigdy, ani razu, nie dozwolił robić protestantom gwałtu; mieczem nawracać nie chciał, a może właśnie dla tego przerzedzały się w Polsce coraz bardziej protestanckie szeregi.

Mądrością, sprawiedliwością i dzielnością zyskał sobie król przywiązanie całego narodu. Z początku znaczna część nie chciała go mieć królem (bo wybrali Habsburga), potem były jeszcze takie warchoły, jak Zborowscy — a przy końcu cały naród, jak jeden mąż stał przy swoim wielkim królu. Największy poeta tych czasów, Jan Kochanowski, miał podczas elekcyi mowę za Habsburgiem, a więc przeciw Batoremu; ale gdy Batory zasiadł na tronie, ten sam Kochanowski głosił, że naród pozyskał prawdziwą perłę i w poezyach swoich uwielbiał króla. Czuł naród, że ten król prowadzi Polskę do wielkich dzieł.

O swych planach tureckich pamiętał król dobrze. Gdy w roku 1584 umarł Iwan Groźny, a na tron moskiewski wstąpił syn jego Fedor, człowiek słaby, bezdzietny i poddany zupełnie wpływom swoich dworzan, umyślił król pozyskać teraz Moskwę do swoich zamiarów, a gdyby car nie chciał sprzymierzyć się przeciw Turcyi, zmusić go do tego. Miał możność rozpocząć na nowo wielkie wojny, bo cała szlachta, naród cały, gotów był iść z zapałem wszędzie, dokąd ten król, taki król, powiedzie; sejm gotów był każdej chwili uchwalić wszystko, czego król zażąda. Zaczął tedy król Stefan przygotowania; porozumiał się z Rzymem, a ówczesny papież, Sykstus V. popierał go gorliwie. Ułożono wielki plan, na podstawie którego miano zaczepić Turcyę równocześnie i w Europie i w Azyi; król wyprawiał posel-



Posłowie cara Iwana proszą o pokój króla polskiego Stefana Batorego (podług obrazu Jana Matejki).

stwa na wszystkie strony, a rokowania dyplomatyczne w tej sprawie sięgały od Hiszpanii aż do Persyi.

Zwołał król nareszcie sejm na Luty 1587; na tym sejmie miał wystąpić ze swoim planem, ale nie doczekał go; po krótkiej chorobie zmarł 12-go Grudnia 1586 roku.

Śmierć Stefana Wielkiego, to najcięższe nieszczęście Polski. Dziesięć lat tylko rządził, gdyby mu było dodano jeszcze drugie lat dziesięć, byłby z Polakami wielkich dzieł dokonał i byłby zmienił w Polsce wszystko, co w niej było niedobrego. On byłby prowadził dobrych obywateli do coraz lepszych urządzeń państwa; on byłby zrobił obywatelem chłopa polskiego i on byłby przeprowadził dziedziczność tronu. Historycy polscy twierdzą wprost, że gdyby Stefan Wielki był pożył dalej, polskie państwo istniałoby do dziś dnia.

ŻEBRAK Z RZEMIOSŁA.

GAWĘDA.

I.

Panie Jakóbie! ot jeszcze do pary
Powiem waszmości jeden koncept stary,
Zkąd się przysłowie rozeszło powoli,
Że człowiek sprawca sam swojej niedoli.
Ot u nas, widzisz, jest ludzi gromada,
Co to, jak mówią, na dwóch stołkach siada,
Co przez zbyteczną usłużność gotowi
Dać świeczkę Bogu, a dwie szatanowi.
Szatan, łakomy na światło jarzęce,
Najpierwej takich pochwytuje w ręce,
I za dwubarwne a niepewne zdanie
Tęgiego figla płata niespodzianie.
Posłuchaj waszmość.
Pod krzyżem przy drodze
Siadywał żebrak o drewnianej nodze;
Miewał przy sobie, jak zwykle żebracy,
Różaniec, stołek, krucyfiks na tacy,
Stare kantyczki, dwie torby, dwa kije,
I drżącym głosem śpiewał litanie.
A tam gościniec trawą nie zarasta:
Jedni do miasta, drudzy idą z miasta;
A żebrak, rodem z tej samej krainy,
Znał tu każdego z postaci i z miny,
Starych i młodych, niewiasty i dzieci,
Panów i żydów, i mieszczan, i kmieci, —
Wiedział kto dobry, a kto jest ladaco;
Ale przed każdym pobrząkiwał tacą,
Każdemu śpiewał piosnkę jednej miary:
»Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!«

II.

A nasza próżność to już rzecz wiadoma:
Nazwie marszałkiem pana ekonoma,
Albo szlachcica panem wojewodą,
Albo dziewczynę kwiatkiem czy jagodą,
Wójtem wieśniaka, kapralem żołnierza, —
A trzygroszówki lecą do talerza,
I w jego sakwach gromadzi się żywo
I chleb miastowy, i wiejskie mięsiwo.
Jeszcze tu żebrak nie nagrzeszył dużo,
Gdy nazwał dziewczę jagodą lub różą;
Gorzej mu nieraz pobłądzić się zdarza,
Gdy zacnym panem nazywał zbrodniarza,
Tchórza rycerzem, dzwonnika plebanem,
A samoluba miłosiernym panem.
Wiedział to żebrak, bo znał swe sąsiady;
Lecz myślał sobie: Nie ma inszej rady,
Trzeba się modlić i po tacy dzwonić,
Kto wart, czy nie wart, nisko się pokłonić,
I wzniósłszy oczy powtarzać bez miary:
»Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!«

III.

Raz ksiądz Bernardyn, idący po kweście,
Rzekł do żebraka: — »Niesłuszni jesteście;
»Bo nie każdemu i nie w każdej porze
»Godzi się mówić: Niech ci Bóg pomoże!
»Wszak tutaj różny snuje się przechodzień,
»Może zły człowiek, może jaki zbrodzień,
»Co złe zamysły w swojem sercu chowa —
»Czyż za każdego modła jednakowa?
»Wszak jeśli Pan Bóg spełni twoje modły,
»To niewinnego pokrzywdzi człek podły,
»Oszust prostaka otumani zdradnie,
»Zbójca rozbije, a złodziej okradnie.
»Nie możesz wiedzieć, co każdy z nich myśli,
»Więc z twemi słowy rachując się ściślej,
»Nie mów każdemu, przyjacielu stary:
»Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!
»Radzę ci mówić sumienniej i prawiej:
»Dobrym zamysłom niech Bóg błogosławi!«

IV.

— »A! mości księże! co mi tam do tego,
»Z jakim zamysłem i gdzie ludzie biegą
»Czy sprawa dobra? czy niesprawiedliwa?
»Ja jestem żebrak, mnie trzeba grosiwa.
»Niech złodziej kradnie, rozbójnik zabija,
»Ja mojej sakwy, ja pilnuję kija.
»Ja z modlitwami każdemu usłużny,
»Kto mi da chleba, albo grosz jałmużny.

»Na to ubogi, że Majestat błaga:
»Niechaj każdemu Pan Bóg dopomaga!
»Przebacz, co powiem: to skrupuły głupie!
»Grosz na tabakę daj, księże biskupie!
»A jak tam sobie będziesz żył w klasztorze,
»Mniejsza mi o to — niech ci Bóg pomoże!«

V.

Ksiądz kwestarz westchnął na taką ślepotę,
Rzucił starcowi na tacę dwa złote,
A żebrak dalej w rzemiosło nędzarza,
Ludziom pochlebia, a Boga obraża!
Były to czasy sudermańskiej wojny,
Wszędy po kraju snuł się żołnierz zbrojny,
Ci za Zygmuntem, ci przeciw Zygmunta,
Ci palą wioski, ci pustoszą grunta,
Ci bronią kraju, a o drugich pisze,
Że w pierś ojczyzny wbijają bardysze;
A żebrak widzi, jak tam wioski gorą,
Jednak żołnierstwu kłania się z pokorą.
— »Trzeba napełniać moją sakwę biedną,
»Czy Szwed, czy Zygmunt, to mi wszystko jedno,
»Moja ojczyzna krzyżyk i rozdroże,
»Niechaj im wszystkim Pan Bóg dopomoże!«

VI.

Gdy Szwedzi idą palić nasze sioła,
Żebrak się kłania, o jałmużnę woła,
A gdy jałmużnę na tacę położą,
On pomoc dla nich przywoływa bożą.
A kiedy Szwedów pokonywać śpieszy
Pułk petyhorski, pancerny lub pieszy,
Znów żebrak bije pokłony usłużne:
— »Dajcie, rycerze, biednemu jałmużnę!
»Niech w waszych piersiach krzepi się odwaga,
»Niech waszym włóczniom Pan Bóg dopomaga!«
A tak, czy Szwedzi, czy idą Sarmaci,
Każdy za modłę żebrakowi płaci;
A żebrak w służbie Chrystusa i czarta
Miedziane grosze do swych sakiew zgarta;
Choćby nogajscy naszli Tatarowie,
Gotów się modlić za szczęście i zdrowie.
I tak za szwedzkie i polskie proporce
Modląc się, zebrał — miedziaków dwa korce:
Więc włokę ziemi zakupił za korzec,
Za drugi sobie pobudował dworzec,
I z włoki gruntu miał dobre intraty;
A że gościniec był blizko od chaty,
Przeto, jak dawniej, pokorny, usłużny,
Siedział przy drodze i żebrał jałmużny.

VII.

Gdy żebrakowi tak dobrze się dzieje,
Pewnego ranku idą dwaj złodzieje,
I jeden mówi: — »Otoż losy szczęsne,
»Jeżeli sakwy starego wytrzęsnę!
»Toż, mówią ludzie, groszowity sztuka
»I ztąd i z owąd swoich zysków szuka!«
Drugi odpowie: »Oho! znam ja dziada!
»Ma tam i w chacie zapasy nielada;
»Nieraz tam zajrzeć brała mię ochota,
»Ale brytana uwiązał we wrota.
»Jakżebym pragnął obrać go do naga!
»Moim zamysłom niech Bóg dopomaga!«
Przeto złoczyńca, chcąc skusić biedotę,
Idzie do starca, rzuca mu dwa złote,
I wpół ze śmiechem dobrotliwie rzecze:
»Pomódl się za mnie, poczciwy człowiecze!«
A stary żebrak, choć znał, że to złodziej,
Lecz myśli sobie: Co mię to obchodzi,
Złożył kantyczkę, wsparł ręce u kija,
Mówi Ojcze nasz i Zdrowaś Marya,
I kończy pacierz swoją zwykłą drogą:
»Twoim zamiarom niech Nieba pomogą!«

VIII.

I w mgnieniu oka jego prośby słowo
Na skrzydłach wiatru stało przed Jehową.
I rzekł Przedwieczny do aniołów grona:
— »Jego modlitwa niech będzie spełniona!«
Stało się tedy — a złodziej nieznacznie
O różnych rzeczach zagadywać zacznie:
Pyta żebraka, jako mu się wiedzie?
Ile lat liczy? kto idzie? kto jedzie?
A żebrak, wdzięczen za uprzejmość taką,
Gwarzył z przechodniem, częstował tabaką,
Życzył mu szczęścia — a złodziej w gawędzie
Zręcznie mu z sakiew grosze wydobędzie,
Chleb, i owoce, i zapasy różne,
Co może w tydzień zebrał przez jałmużnę.
Żebrak nie postrzegł, tak zawzięcie gadał,
Kiedy go złodziej do szczętu okradał:
Bo Pan Bóg jego wysłuchał pacierze
I złodziejowi szczęściło się szczerze.

IX.

Tymczasem drugi skrada się do chaty,
A brytan groźny, ogromny, kudłaty,
Zamiast zaszczekać i nasrożyć paszczę,
Jeszcze się do nóg złodziejowi głaszcze.
A ten, szczęśliwy, że się brytan garnie,
Splondrował skrzynie, zasieki, śpiżarnie.
Tu mu się dobrze pożywić wypadło:
Znalazł pieniądze, napitek i jadło,
I sutą odzież, kożuchy i świty,
Wszystkiego, panie, zapas znakomity,
Że jednem słowem, można mówić śmiało,
Tylko ptaszego mleka nie stawało.
Złodziej niegłupi — a jak się zawinie,
Wszystkie zapasy uprzątnął w godzinie;
A tak sumiennie był pracy oddany,
Że nawet ćwieki wyciągnął ze ściany.
Więc pośpiewując po sowitem żniwie,
Pogłaskał psisko i poszedł szczęśliwie.

X.

Wieczorem żebrak aż krzyknął z rozpaczy,
Kiedy swą szkodę podwójną zobaczy,
Aż targa brodę, aż płacze, aż mdleje,
Przeklina siebie, i psa, i złodzieje;
A bardziej jeszcze po sercu mu bodło,
Że mówił pacierz, by im się powiodło.
Wytaczać skargę na niewiele zda się,
Księdza kwestarza wspomniał po niewczasie,

I już naprawdę jak nędzarz ubogi
Płaczliwym głosem żebrował u drogi.
Lecz po nauce, po ciężkiej goryczy,
Już nie każdemu powodzenia życzy.
Lecz kończąc pacierz dodaje w pokorze:
»Dobrym zamysłom dopomagaj, Boże!«
Modlił się, kiedy wdzięczność go uniosła,
Ale już nie był żebrakiem z rzemiosła.
Śmiano się z niego, i długo, i szczerze:
— »Ja cię okradnę, mów dziadku pacierze!«
A ztąd przysłowie powstało powoli:
Że człowiek sprawca sam swojej niedoli.

L. Kondratowicz.

O Żmudzi i Żmudzinach.

Żmudź (Zemajczis, kraj niski) leżący na północny-wschód od Litwy, z którą graniczy zarówno jak z Prusami i morzem Baltyckiem, ciągnie się na północ i wschód od miast Tylży i Kłajpedy (Memla). Rzeka Niewiaża odgranicza Żmudź od Litwy, Niemen od Prus a Szwanta od Kurlandyi.

Cała Żmudź wielką jest płaszczyzną i pochyla się ku morzu Baltyckiemu. Na całej Żmudzi zaledwie kilka jest wyniosłości, które tam górami zowią, a z nich najsławniejsza góra Biruty nad morzem. Wody ma Żmudź dostatek, liczne strumienie zwilżają każdy zakątek tej ziemi.

Mieszkańcy Żmudzi zarówno jak Litwini i pierwotni Prusacy tworzyli jeden naród pomorski Letonów aryjskiego pochodzenia, używający języka odrębnego, nie mniej jednak ścisły związek mającego z sanskrytem. Od najdawniejszych czasów oddawali oni cześć ogniowi pod nazwiskiem Znicza. Był to święty wieczny ogień, którego nigdy nie gaszano. Znicz dniem i nocą palił się na ołtarzach dla rozlicznych bóstw, pod strażą kapłanów wajdelotów i kapłanek wajdelotek. Poświęcone bogom dziewice, czuwając nieustannie, ogień święty podsycały.

Słońce uważane za źródło ognia, odbierało cześć w postaci boga zwanego Sotwaros. Bóg ten słońca był światłem i duszą całego świata i wszystkich bogów.

Najwyższym bogiem był Pramzimas, bóg nieba, ziemi, morza i piekła, który rządzi losami i ludzi i bogów. Pod opieką Pramzimasa rządziło trzech bożków. Perkunas władca piorunów, Poklas piekła, karzący zbrodniarzy i Atrimpos pan morza i wód, czczony w postaci węża. Ci trzej bogowie, rodzaj trójcy pogańskiej, czczeni byli w jednej świątyni i razem światem rządzili. Największą bojaźń obudzał Perkun, gniew swój wyrażający piorunami; jemu olbrzymie dęby za ołtarze przeznaczono, jemu jeden w tygodniu piątek poświęcono. Oprócz tych głównych bóstw znali Żmudzini podrzędne bogi i boginie.

Po nad wszystkimi bogami wznosiło się bóstwo najwyższe, przedwieczne, które dało początek wszystkim bogom Okapoimas.

Religia pogańska Żmudzinów odznaczała się nader czystymi zasadami moralnymi i dla tego wyznawców swych zagrzewała do zwycięzkich bojów i czynów bohaterskich. Wierzyli pogańscy Żmudzini w nieśmiertelność duszy w przyszłe życie, wierzyli w karę i nagrodę na drugim świecie za postępowanie na ziemi. Kapłani nauczali i zalecali ludowi zgodę, przyjaźń, gościnność i skromność kobiecą.

Taka była wiara dawnych Żmudzinów, długo pozostali jej wierni, a nawet po ochrzczeniu Litwy przez Jagiełłę Żmudzini w głębi swych puszcz niedostępnych pozostali do XVI w. wiernymi swym bogom. Życie Żmudzina było pełne prostoty; lud ten rolą zajęty cieszył się posiadaniem kudłatego konia, krówki i wołu, chata podłużna, nomem zwana, kryła pod jednym dachem gospodarza i jego dobytek. Dziś Żmudzin zamożny, ale zalety swych przodków zachował; do nowej swej wiary zarówno przywiązany, przechował on język prastary i obyczaj prosty.

Żmudź ma klimat ostry ale lasów i wód dostatek i urodzajną ziemię. Upra-

wiają tam głównie pszenicę, len i konopie; a len dziwnie piękny wywożą za granicę.

W rzekach ryb obfitość wielka, pod Połągą łowią flonderki, śledzie i dorsze a w Niemnie tłuste łososie. Bory i puszcze, pamiętające pogańskie czasy, np. puszcza Kurtowiańska w niedawnych jeszcze czasach posiadała niedźwiedzie i jelenie. Liczne barcie w starych drzewach dają schronienie niezliczonym pszczelnym rojom, których miód używa zasłużonej sławy. Na Pomorzu zbierają Żmudzini bursztyn, który morze obficie, szczególnie w jesieni około Połągi na brzeg wyrzuca. Żmudzin jest powolny ale rześki, pobożny, gościnny, pracowity, rządny i gorąco miłujący wszystko co rodzinne. Domy chłopków żmudzkich piękne, wysokie lecz o niewielkich oknach, z wielkim okapem, tworzącym rodzaj podcieni, składają się z dwóch izb: pierwsza gościnna, ozdobiona kwiatami, druga piekarnia, jest dla czeladzi. Przed każdą prawie chatą stoi krzyż drewniany, z figurą ku oknu zwróconą. Najważniejszą częścią domu dla Żmudzina jest próg; gdy nowy dom stawia, pod progiem zakopuje krzyżyk drewniany i jaką pamiątkę po przodkach. Niechętnie też Żmudzin opuszcza domową zagrodę i rzadko się od niej oddala.

Skrytym jest Żmudzin, niełatwo zawiera przyjaźń i tajemnice swe wyjawia, lecz kogo pozna i pokocha, temu już przyjaźń do śmierci duchowa i niczego mu odmówić nie potrafi.

Kobiety niekiedy orzą i włóczą w lecie, a w zimie zawsze przędą śliczny biały len i wełnę, i robią wyborne, przedziwnie cienkie płótna, płócienka, jańczary, sukna, półsukienka, dywany; same także farbują a pięknie i trwale. Mężczyzni uprawiają rolę, wychowują sławne ze swej siły i rączości małe lecz krępe żmudzkie konie, a nadto odznaczają się niepospolitemi zdolnościami do wszelkich rzemiosł.

Pracy swej i rządności zawdzięczają oni wielki dobrobyt, przebijający się zarówno w obszernej chacie jak i w sutem odzieniu. Chłop żmucki nosi na święto kapotę z błękitnego sukna domowej roboty, pięknie naokoło zielonym jedwabiem wyszywaną, pas skórzany spięty mosiężną albo srebrną klamrą, przez plecy przewiesza torbę borsuczą, spodnie ma płócienne albo sukienne, na szyi chustkę kolorową, w zimie czapkę z lisiej albo psiej skóry, a w lecie kapelusz.

Kobiety zaś noszą katanki za kolana z cienkiego sukna, bardzo fałdziste, spódniczki także suto fałdowane, płócienkowe albo materyalne i trzy drogie chustki. Jedną na głowie, drugą na piersiach, trzecią na twarzy. Latem noszą białe koszulki haftowane z płótna domowej roboty albo z perkalu, kolorowy jedwabny gorsecik i spódniczkę materyalną albo perkalową białą do kolan haftowaną.

Żmudzini bardzo lubią śpiewy; śpiewają nietylko w kościele; ale i w domu i przy robocie, pieśni ich są piękne i melodyjne ale poważne i uroczyste. Patronem Żmudzi jest święty Jan Chrzciciel; jak u nas słynie cudami Matka Boska Częstochowska, tak na Żmudzi Najświętsza Panna Szydłowiecka i Ostrobramska. O Żmudzinach powiedział Wincenty Pol.

»Lud tam żyje po zakonie
A więc zda się zimny zrazu,
Lecz gdy serce zawre w łonie,
Nie usłyszysz z ust wyrazu;
Lecz łza tryśnie na wpół rzewna,
Na pół krwawa, na pół gniewna.
Piersi jękną z tajnej głębi
Zamiar padnie niby w studnię,
Lecz czas krwi tej nie wyziębi
Dusza jego nie wychłódnie
I wypłynie na jaw w czynie!«

DOSKONAŁE LEKARSTWO.

Nad bystrym potokiem, jednym z dopływów Sanu, kilka staj za wsią Kamionką, stoi okazały młyn, którego koła dzień i noc huczą. Tuż przy młynie jest piękny ogród z dużą pasieką, w ogrodzie ładny murowany dom, za domem rozległe podwórze, z porządnymi gospodarczymi budynkami, a dalej wielki szmat urodzajnej ziemi, starannie, niby grządki w ogrodzie, uprawionej; wszystko zaś razem jest własnością Mateusza Zucha, dzielnego młynarza, znającego swoje rzemiosło, punktualnego i sumiennego.

Z dalekich stron zwożą ludzie zboże do Mateuszowego młyna, bo tak pięknie, jak Zuch, nikt nie miele, nie oddaje tak wiele mąki, która zawsze na przyobiecaną godzinę jest gotowa. Młynarz Mateusz bowiem, wychowany w bojaźni Bożej przez pobożnych rozumnych rodziców, wie dobrze, że nic tak nie przysparza chleba i mienia, jak rzetelność, pracowitość i słowność; trzymał się też tych cnót przez całe życie i dobrze mu z niemi było.

Ludzie opowiadali sobie, że oprócz tej majętności, którą każdy własnemi mógł oglądać oczyma, ma jeszcze Zuch sporo uskładanego grosza, umieszczonego już to w kasie na procencie, już to rozpożyczonego pomiędzy sąsiadami; bo młynarz uczynnym był bardzo, ale przecież nie płochym i lekkomyślnym.

Mateusz był twardej natury z pozoru; nie rozczulał on się łatwo, nie rozżalał i wiele nie obiecywał, lecz widząc prawdziwą potrzebę bliźniego, bez długiego gadania (bo kochał się w milczeniu) nie proszony nawet, ratował jak i czem mógł; tylko dla pijaków, próżniaków i utracyuszów nie miał miłosierdzia, a że z powierzchowności wyglądał na zimnego, surowego człowieka, choć w istocie był gorączka wielki, tylko musiał nad sobą panować, przeto ludzie mniej go znający, posądzali o twarde serce i skąpstwo.

Bliżsi jednak sąsiedzi, znajomi i przyjaciele, kochali i szanowali młynarza; nie jedni zaś rodzice, mający dorosłe córki w domu, radziby go przyjęli za zięcia. A i dziewczęta, zwłaszcza co starsze i biedniejsze, nie spoglądały nań krzywo; trzeba wiedzieć, że Zuch był chłop wspaniałej postawy i wcale urodziwy; majątek zaś jego, statek, pracowitość i gospodarność, niemałego dodawały mu też powabu.

Tak więc nasz młynarz był szczęśliwym człowiekiem, miał wszystko, co ludzie dobrem zowią; brakło mu jeno gospodyni. Właśnie 21-go Września, w sam dzień swego patrona, św. Mateusza apostoła, skończył Zuch lat trzydzieści pięć. Kiedy to sobie rozważył, uderzył dłonią w stół, za którym, podczas medytacyi nad swoimi latami, siedział, i tak powiedział sobie:

— No, czas na cię, bracie! Trzeba szukać żony! Mam dom, majątek, zdrowie, lata po temu, jeno gosposi niema, a bez niej w chałupie nijak. Trzeba się dobrze rozglądnąć, aby sobie wyszukać niewiastę do Boga i do ludzi, do tańca i do różańca, gospodarną, a nie szpetną.

I jak rzekł, tak uczynił. Jął się pilnie rozglądać najpierw w samej Kamionce, potem przez trzy niedziele w pobliskiem miasteczku, gdzie była parafia, uważając wychodzące z kościoła dziewczęta.

Najbardziej, przy tym przeglądzie, udała mu się Józefowa Tereska z Kamionki. Była ona córką zamożnego gospodarza, więc miała odpowiedni do młynarzowego majątek, urodziwa też była w sam raz, pobożna i pracowita, wesoła i rozmowna, a miała lat dwadzieścia dwa, więc wiek do zamążpójścia najodpowiedniejszy, bo nie za młoda, nie za stara. A dalej, co jest bardzo ważne przy wyborze małżonki, pochodziła z dobrego, zacnego domu. Rodzice Tereski byli nietylko bogaci, lecz

bardzo cnotliwi, bogobojni, szanowani przez całą parafią. Wielka miłość i zgoda panowała w rodzinie Józefów, stawiano ją za wzór innym; Tereska przez całe życie nie słyszała co to kłótnia, lub przekleństwo; rodzice żyli z sobą, jak dwa stare gołąbki.

To ostatnie najwięcej się Mateuszowi podobało; myślał sobie w skrytości duszy, że oboje z Tereską będą stanowić drugą taką gruchającą parę niewinnych ptaszków.

Rozważywszy sobie tedy wszystko, co wiedział o Teresce, nasz Zuch, ucieszył się ogromnie z swego wyboru i zawołał sam do siebie z rozjaśnioną twarzą:

— Toć to właśnie dla mnie stworzona niewiasta, owa Józefowa Tereska! Dalej, Mateuszku, nie zwlekaj, chłopie, iżby ci kto z przed nosa nie sprzątnął tego skarbu — i posłał co tchu do Józefów swatów.

Józefowie nie mieli nic do zarzucenia młynarzowi; skoro zaś policzyli wszystkie jego przymioty i zalety uznali, że spokojnie mogą Zuchowi powierzyć szczęście córki. Tereska natomiast nie uznała tak od razu doskonałości Mateusza. Byłaby wolała męża młodszego, rozmowniejszego i weselszego usposobienia. Lecz gdy jej rodzice powiedzieli, że wszystkich co najznakomitszych przymiotów niema nigdy w jednym człowieku, że nie trzeba być zanadto wymagającym, bo przebierając bez miary, okrutnie się sparzyć można i wybrać byleco, dała się ojcom przekonać. Pomyślawszy sobie, że rodzice lepiej się znają na tem, jak męża wybierać, niż ona, zgodziła się w końcu chętnie na żądanie Zucha i w zapusty odbyło się huczne wesele.

Było tam w Kamionce trochę zazdrości i gadania, aleć nareszcie musieli przyznać ludzie, że z Mateusza i Tereski była wcale dobrana para, że szczęście w związku z sobą znaleść powinni.

Młoda gosposia, sprowadziwszy się do młyna, zajęła się ochoczo, umiejętnie i pilnie gospodarstwem. Wnet też nastał w całem obejściu lepszy ład i porządek, czeladź była zadowolona, bo gospodyni bardzo dbała o wszystkich domowników, a młynarz rad był ze swego ożenku okrutnie i już nie wiedział, jak sobie dziękować, że się z Tereską ożenił. Co dzień lepiej widział, jak to z zapobiegliwą gospodynią przybywało mienia; składu, ładu, wygody, a w domu było raźniej z kobietą wesołą i mowną.

Minęła wiosna i lato, nastała już jesień, a u młynarzy tak zawsze było wesoło, jak w pierwszy tydzień po ślubie. Lecz niestety! szczęście ludzkie na tym świecie kruche i niestałe jest. Więc też do domu Zuchów zbliżało się wolno, nieznacznie, tajemniczo nieszczęście, niby złodziej pragnący ukraść kosztowny skarb, które miało zadać śmiertelny cios radości i szczęściu młodej pary, zburzyć spokój i zgodę Tereski i jej poczciwego męża.

Zuch, oprócz powierzonego sobie przez ludzi zboża, mełł jeszcze wiele własnego i zakupionego ziarna dla handlarzy i piekarzy. Zdarzyło się jakoś w późnej już jesieni, że Mateusz zakupił znaczny zapas zboża od gospodarzy w miasteczku. Dobiwszy targu, wciągnęli gospodarze młynarza na litkup; poszedł on chętnie, bo taki był zwyczaj, a Zuch nie myślał wcale wyłamywać się z przyjętego zwyczaju, wiedząc, że zawsze w wszystkiem można i należy się zachować miarę.

Mateusz nie chodził nigdy do szynkowni, oprócz gdy go zaproszono na litkup; wtedy wypijał ze dwa kieliszki prawdziwego, węgierskiego wina, a nikt go do picia nie przymuszał, bo wiedziano, że z młynarzem żartów niema; jak co powiedział, tak nigdy nie cofnął słowa, a wiedziano, że nad dwa kieliszki jeszcze Mateusz w życiu więcej od razu nie wypił.

Lecz dziś znalazł się w szynkowni, oprócz gospodarzy, handlarz mąki i krup rozmaitych, który niedawno osiedlił się w miasteczku i Zucha poraz pierwszy widział. Jako z młynarzem zabrał z nim znajomość, mówiąc, że bardzo wiele potrzebuje mąki, że jeżeli Mateusz ma ta-

ką, jak on sobie życzy, to będzie wszelkie zapasy brał on niego.

Zuch rad ze zrobionej znajomości, która obiecywała jeszcze zrobienie dobrego interesu, chętnie gawędził z handlarzem, słuchał go z przyjemnością, a handlarz umiał mówić, jak z książki. Szczególny to był człowiek: wesoły, dowcipny, serdeczny, wylany, a tak umiał chwytać wszystkich za serca, że nietylko gospodarze, ale i Mateusz przylgnęli do niego, jak pszczoły do miodu. On zaś sypał dowcipy, dogadywał, przymilał się, obiecywał, przypijał, a towarzysze jeno mu przytakiwali.

Zuch już był po dwóch kieliszkach litkupu, gdy się handlarz zjawił, ale na jego prośby, na uświęcenie mocnej przyjaźni i pomyślne zrobienie interesu, musiał wypić jeszcze dwa kieliszki likieru, potem dwa kufelki piwa, później nieco znowu wina, a następnie piwa i likieru, aż wreszcie owa mieszanina trunków zrobiła swoje: młynarz nie przyzwyczajony, już po kilku kieliszkach zapomniał o swej wstrzemięźliwości i dwóch kieliszkach, których nigdy dotąd nie przekraczał, a po kilku kolejkach, podchmielił sobie nieżartem.

A nietylko Mateusz przebrał miarkę, lecz wszyscy gospodarze uczynili tak samo; jeden tylko handlarz był trzeźwy, a wywierał na całą kompanią, jakiś szczególny, potężny wpływ, tak, że mu się nikt nie oparł; a gdy zaproponował grę w karty, grano z nim bardzo ochoczo i przegrywano do niego aż miło.

Nareszcie pierwszy Mateusz pomiarkował się, że na dziś, tak gry, jak picia, nietylko dość, lecz nawet sporo za wiele. Jął się przeto wybierać do domu; ale pod wpływem wina, lubo przegrał i przepił sporą sumkę, w doskonałym był humorze. Handlarz nietylko nie wstrzymywał młynarza, lecz oświadczył, że go odprowadzi do domu, aby się zaraz przekonać, jaką też mąkę i krupy miele nasz młynarz, i za jedną drogą odrobi z nim interes.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

* Objaśnienia rycin. *

* **Nadzwyczajny rachmistrz.** Na obrazku widać chłopca z dorosłym mężczyzną. Ten chłopczyk, to właśnie nadzwyczajny rachmistrz. Nazywa się Inaudi i niedawno jeszcze był pasterzem owiec. Co on potrafi? Umie on mnożyć kilkanaście liczb liczące sumy z wielką łatwością, jakoby zupełnie bez trudu; odciąga szybko wielkie liczby od siebie; oblicza na którą datę przypadł pewien dzień w pewnym roku. Wszystko to zaś po części w pamięci, po części na tablicy.

Nie pierwszy to taki rachmistrz. W ostatnich czasach pokazywało się jeszcze dwóch innych za pieniądze: niejaki Fraenkel Maurycy i kupiec Hainhaus. Obaj oni jednak porzucili ten zawód wałęsania się po świecie i pokazywania publiczności, co umieją.

Zadziwiająca jest taka sztuka rachowania i wszyscy rachmistrze mają z natury szczególnie wielki talent do rachunków. Lecz wiele sztuk rachunkowych, na oko bardzo trudnych, zdoła sobie przyswoić pilnością i taki, który nie odznacza się wielkiemi zdolnościami. Pilnością i wytrwałością można w każdym zawodzie dużo osięgnąć!

⟡ FRASZKI. ⟡

* **Na ulicy.** — Jak się pan ma, panie Fajnbube! Ah, jak pan pięknie wygląda! Samo zdrowie. Tylko co spotkałem pańską wielce szanowną małżonkę! A dzieciaki kochane, jak Amorki, a nawet i bona, co z niemi szła...

— Pan potrzebujesz nie zawrócicz na głowie; powiedz pan odrazu: ile, jaki poręczyciel i na jaki procent?

* **Gdy mu się poszczęści.** — Namyśliłem się, już nie będę asekurował na życie; może trzeba będzie opłacać składkę przez jakie lat 20; to nie ma najmniejszego wyrachowania.

Agent: Nie przeczę, wszystko się zdarza, ale jeśli się panu dobrodziejowi poszczęści, to może pan umrzeć w pierwszym zaraz roku ubezpieczenia się.

* **W jadłodajni.** — Panienko, tę pieczeń to już czuć.
— Czuć już? a to sam czas, aby ją zjeść.

* **W sądzie gminnym.**

»Oskarżony!... wiesz wszak pewnie,
Że kraść jest to rzeczą podłą,
Powiedzże mi choć otwarcie,
Co cię do mnie tu przywiodło?«
»Hm! gdy sędzia chce to wiedzieć,
Gdy tak silnie na mnie natarł,
To już powiem, proszę pana,
Że mnie przywiódł tutaj katar!«
Bo kichnąłem tak siarczyście,
Kiedym cudze rzeczy capał,
Że gospodarz się obudził
I za kołnierz wnet mnie złapał!«

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

᷾
ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 17-go Czerwca 1897. Nr. 24.

„Swiatło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 **markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

ŚW. ŁUCYAN,

KAPŁAN I MĘCZENNIK.

W gaju palmowym syryjskiego miasta Samozaty przechadzał się ośmnastoletni młodzieniec, nad przyszłością swoją i nad wyborem stósownego dla siebie zawodu rozmyślając. Rodzice już za młodu go odumarli, ale w pamięci i w sercu jego głęboko utkwiły, szczególnie drogiej matki napomnienia. Jej to bowiem było staraniem, by jedyne swe dziecię w wierze chrześciańskiej i niezachwianej ufności w opatrzność Boską wychować.

Naraz ogarnęło Łucyana — tak młodzieńcowi było imię — uczucie błogiego spokoju. Duch Boży, ponad konarami cienistych palm się unosząc, natchnął serce pobożnego młodzieńca i podał mu myśl poświęcenia się całkowicie służbie Pańskiej. Rozdzielił więc Łucyan całe swoje mienie między ubogich i udał się do Edesy w Mezopotamii, gdzie opat Makaryusz, mąż wielkiej świątobliwości i głębokiej uczoności, niezwykłym pałając ogniem, pisma apologetów i obrońców wiary chrześciańskiej wykładał. Tego to nauczyciela został Łucyan uczniem. Na badaniu prawdy i czystości nauki Jezusa Chrystusa kilka lat strawił, a potem obdarzony przedziwną wymową, bez względu na stan przeciwników wiary św., błędy jakie się do niej przez liczne ówczesne herezye wcisnęły, wykazywał, zbijał i wykorzeniał.

Przytem wiódł wzorowe życie. Czas wolny od pracy umysłowej spędzał na gorącej modlitwie, w pokarmie i napoju był nader umiarkowany, a przedewszystkiem piękną cnotę milczenia tak dalece sobie przyswoił, że rzadko kiedy do kogo przemówił, jeżeli o sprawy Boże lub kościelne nie chodziło.

Biskup Antyocheński powołał młodzieńca do siebie i w uznaniu szlachetności ducha, nieskazitelności życia, gruntownej nauki i wiedzy na kapłana go wyświęcił a zarazem przełożonym publicznej szkoły, założonej dla młodzieży męzkiej mianował. W tej szkole każdy w pobożności i czystości obyczajów jako też w zasadach prawdziwej wiary bezpłatnie pouczany bywał. W gorliwem pełnieniu obowiązków kapłańskich i w przywiązaniu do niesfałszowanej nauki Boskiej był Łucyan dla uczni swych promieniącym wzorem i stał się dla nich ojcem i przyjacielem.

Około tego czasu — w roku 303 po narodzeniu Chrystusa Pana — wybuchły srogie prześladowania wiary chrześciańskiej. Cesarz Dyoklecyan wydał jak najsurowszy zakaz rozpowszechniania nauki Chrystusowej, wzbraniając wiernym pod karą śmierci zebrań celem odprawiania nabożeństwa ku chwale prawdziwego Boga.

Łucyan przebywał właśnie w Nikomedyi, gdy oprawcy cesarza kilku z jego towarzyszów, św. wiarę odważnie wyznawających, pochwycili i do więzienia wtrącili. Łucyan gdy się dowiedział, jeszcze głośniej i jawniej, niż dotychczas prawdę i zbawienie na nauce Jezusa Chrystusa ugruntowane ogłaszał. To też nie długo trwało a i jego samego ujęto i do więzienia wrzucono.

Bogobojny kapłan nawet w ciemnym lochu nie myślał o sobie, ale przeniósł się duchem do wiernych owieczek szczególnie zaś do swych młodocianych uczni w szkole Antyocheńskiej. Listownie pobudzał ich do wierności i wytrwania w wierze, czule i mile pozdrowieniami wszystkich swoich towarzyszów więzienia pocieszając, którzy tak samo jak on spokojnie a nawet radośnie oczekują chwili, gdy będą mogli Zbawicielowi za nieograniczoną Jego dobroć i miłosierdzie, śmiercią męczeńską choć w maluczkiej cząstce się odwdzięczyć. Ostatecznie postawił im jako

wzór Antimusza, bogobojnego biskupa Nikomedyjskiego, który w obec wszystkich więźniów z podziwienia godnem męztwem w pośród najokropniejszych męczarń za wiarę świętą ducha wyzionął.

Przez dziewięć lat więziono św. Łucyana, gdyż ani groźbami ani dobrocią nie można było na nim wyparcia się wiary Chrystusowej wymódz. Po tak długim czasie rozkazał cesarz Dyoklecyan, aby więźnia powtórnie przed niego stawiono.

Ale i tym razem nadaremne było cesarskie usiłowanie. Św. Łucyan bowiem przyobiecanymi w razie odstępstwa zaszczytami pogardził, ofiarowane złoto i srebro odepchnął, otwarcie wyznając, że bogactwa i klejnoty całego świata nie wyrównają godności wiary i nauki Jezusa Chrystusa.

Tym mniemanym uporem cesarza do tego stopnia rozjątrzył, że świętego męża w najokropniejszy sposób obić i znowu do więzienia wrzucić rozkazał.

Po śmierci Dyoklecyana wstąpił Maksymian na tron, rządca od swego poprzednika nie wiele co łagodniejszy. Ten, gdy o uwięzionym Łucyanie się dowiedział, natychmiast do siebie go przywołał, starając się zacnego kapłana najpiękniejszemi słowy i przyrzeczeniem najwyższych dostojeństw do oddania czci Bogom pogańskim namówić. Lecz nie osięgnął najmniejszego skutku: na wszystkie namowy, pokusy, perswazye i przyrzeczenia Łucyan jedną i tę samą odpowiedź dawał: »Jestem chrześcianinem«. A gdy następnie na rozkaz cesarski ciało pasami z niego zdzierano i krwią zbroczonego z powiązanemi rękami i nogami na ostre kamienie rzucono, na których w najokropniejszych boleściach czternaście dni przeleżał, do urągających mu przechodniów wołał: »Jestem chrześcianinem«. Cesarzowi, gdy tenże sam go zobaczyć przybył, i po ostatni raz się zapytał, czyby zdania swego nie zmienił, św. Łucyan ostatni raz odpowiedział: »Jestem chrześcianinem.«

Na śmierć przez miecz skazany, cieszył się Łucyan, że nareszcie nadeszła pożądana chwila bliskiego połączenia się z gorąco ukochanym Zbawicielem. Pomiędzy przyjaciołmi, którym dozwolono było w ostatnich dniach przed śmiercią Świętego odwiedzać, znajdowało się także kilku jego uczni Antyocheńskich. Ci, zalewając się łzami, przyrzekli zacnemu nauczycielowi, podobnie jak on w wierze do ostatniego tchu wytrwać i za największe skarby świata jej nie zdradzić. Otoczony wiernymi towarzyszami, odprawił we więzieniu mszą św., potem pobłogosławił ich i ostatnie chwile życia w samotności na modlitwie spędził.

Kiedy nazajutrz tłumy ludu na smutne widowisko ścięcia św. Łucyana się zebrały, bez zadowolenia ciekawości odejść musiały, bo Maksymian, z obawy przed natłokiem motłochu, katom potajemny dał rozkaz, by Łucyana w celi więziennej zadławili i ciało do morza wrzucili.

Przyjaciele Świętego, dowiedziawszy się o tem, podążyli licznie nad morze, aby przy niezmierzonym grobie świętego męczennika boleści swej ulżyć.

Przepaście morskie, mniej okrutne aniżeli cesarz i jego oprawcy, posłuszne rozkazowi Boskiemu, ciało św. Łucyana po trzech dniach z toni swych nieskażone wydały. Znaleziono je i pochowano w bliskości miasteczka Drepane.

Towarzystwo wstrzemięźliwości w Anglii.

Najbardziej rozpowszechnione jest dziś Towarzystwo wstrzemięźliwości kościoła anglikańskiego The Church of England Temperance Society, liczące około 600,000 członków. Towarzystwo to zwróciło szczególniejszą uwagę na moralną poprawę ludzi, popchniętych przez nieszczęśliwy nałóg na ławę oskarzonych. Utrzymuje ono, zwłaszcza przy sądach poprawczych stałych swych misyonarzy (polis-court missionaries), należycie do tej godności przygotowanych i cieszących się zupełnem zaufaniem sędziów i policyi. Misyonarze ci składają poręczenia za podsądnych, szukają dla nich zajęcia, zwracają małoletnich przestępców rodzicom lub też oddają ich do szkół, godzą zwaśnionych małżonków, starając się zarazem wymódz na nich obietnicę zupełnej wstrzemięźliwości itp.

Rankiem, przed rozpoczęciem czynności w sądach, misyonarz u wrót więziennych oczekuje na tych, którym po odbyciu kary wrócono wolność, biedacy opuszczeni przez wszystkich krewnych i znajomych, dostają odzież, pokarm i przytułek w jednym z domów zarobkowych Towarzystwa, a jeźli są zdatni i chętni do pracy, łatwo otrzymać mogą z rekomendacyi misyonarzy stałe zajęcie i utrzymanie.

Oto kilka cyfr świadczących o działalności owych misyonarzy sądowych. W jednej tylko dyecezyi londyńskiej w

ciągu roku 1894: od 1524 osób otrzymano zobowiązania na piśmie, że więcej używać nie będą żadnych spirytualiów; odwiedzono 12,754 podsądnych i 843 razy więzienia i areszty; 2285 osobom dostarczono pracy lub zwrócono je rodzicom; 1145 podsądnym przywrócono wolność przez poręczenie; 1023 kobiet i dziewcząt uchroniono od upadku; 1746 alkoholiczek oddano pod opiekę misyonarek; wydano 1160 ubrań i pościeli; 368 chłopców oddano do krewnych lub do ochronek; 15,855 osobom dano zapomogi pieniężne; napisano 4704 listów w interesie oskarzonych itd.

Oprócz misyonarzy sądowych Towarzystwo zorganizowało również misyonarzy, zwiedzających wyścigi, jarmarki, zebrania itp. W roku 1894 oddział ów w samem Londynie rozdał około 100 tysięcy broszur i odezw. Nadto filie prowincyonalne Towarzystwa urządzają w całej Anglii odczyty publiczne oraz zgromadzenia dla omówienia spraw religijnych, społecznych, naukowych, zawsze jednak w związku z kwestyą alkoholizmu.

Ostatnimi czasy Towarzystwo zyskało ogromną pomoc ze strony nader licznego Towarzystwa żeńskiego wstrzemięźliwości, tak zwanego (Woman's Union).

Przed 50 laty członkowie Towarzystwa anglikańskiego przyszedłszy do wniosku, że zmusić nałogowego pijaka do wyrzeczenia się trunków jest znacznie trudniej, niż uchronić od pijaństwa ludzi całkiem zdrowych, powzięli zamiar przeniesienia działania na młodzież szkolną, przez zaznajamianie jej z fizycznymi i moralnymi skutkami pijaństwa.

Powstał ztąd t. zw. Band of Hope, czyli Związek nadziei, którego organizacya polega na następujących zasadach: za zgodą rodziców, od dzieci w wieku szkólnym odbierają uroczystą obietnicę i podpis na wyrzeczenie się mocnych trunków; dzieci wnoszą składkę (około 2 ct. tygodniowo) i po upływie miesiąca, w razie dotrzymania obietnicy, otrzymują ozdobny bilet członkowski, po trzech zaś miesiącach, piękny znaczek na wstędze niebieskiej do noszenia na piersiach.

Obecnie »związków nadziei« w Anglii istnieje około 21,000 a do grona ich członków należy około 2,837,000 dzieci i 70,000 kierowników. Członkowie związku zbierają się zwykle co tydzień w jakiej sali publicznej lub w szkole, gdzie słuchają odczytów lub też oglądają obrazy cieniowe na temat wstrzemięźliwości; wreszcie bawią się wspólnie, śpiewają i t. p.

Towarzystwo wstrzemięźliwości utrzymuje 17 lektorów, którzy stale odwiedzają wszystkie związki na prowincyi. W ciągu ostatnich lat sześciu mieli oni 15,784 odczytów, których słuchało około 1,800,000 uczniów 16.000 nauczycieli.

Praktyczne rady.

— **Kapusta faszerowana w całej głowie**. Z dużej głowy kapusty świeżej, poobcinać przy głąbiu wszystkie liście, i podzieliwszy je partyami na większe i mniejsze, kłaść do garnka lub dużego rondla z odpowiednią ilością wody wrzącej osolonej i nawpół obgotować.

Przez ten czas przygotować farsz z mięsa, biorąc po 1 funcie mięsa wołowego i wieprzowego od szynki, usiekać na maszynce, dodać jedną kajzerkę rozmoczoną i dobrze wyciśniętą, 3 całe jaja, soli i pieprzu do smaku, oraz kto lubi, nieco cebuli utartej na tarce, i wszystko doskonale wyrobić. Liście kapusty wybrać na sito ostróżnie łyżką durszlakową, aby się nie podarły, a wodę, z nich ociekłą, zlać napowrót w rondel, — niech się gotuje.

Teraz w misce głębokiej rozłożyć serwetę i na niej ułożyć wokoło i na dnie najpierw największe liście kapusty żyłkami grubszemi do góry, na to dać warstwę mięsa, znów liście następnej wielkości, znów mięso i tak ciągle, dopóki wszystko nie będzie ułożone. Liście powinny kończyć przekładanie, i tu daje się wszystkie pozostałe drobne i podarte, poczem całą serwetę zebrać w rękę i mocno związać sznurkiem przy samej kapuście.

W garnek z gotującą wodą włożyć na dno talerz obrócony dnem do góry, dla uchronienia serwety od przypalenia, i dopiero na to ową głowę kapusty, która bez przerwy powinna się gotować do 2 godzin. Po wyjęciu kapusty, należy wodę która się zrobi ciemna, nieco ostudzić i użyć jej do sosu, przyrządzonego w sposób następujący: Łyżkę masła zasmażyć z czubatą łyżką mąki, ale nie zrumienić, rozprowadzić wodą od kapusty tak, aby sos był zawiesisty, dodać kubek śmietany, 2 żółtka, przysolić do smaku i jak kto lubi, dodać kwiatu muszkatowego dla zapachu. Można też do gotowania kapusty wsypać nieco cukru.

— **Plamy na bieliźnie od kawy** najlepiej wywabić letnią wodą ze solą albo z mydlaną a ostatecznie przez dym siarkowy, lecz czasem i trzy razy tę operacyą powtórzyć trzeba.

— **Kit angielski do porcelany**. Moczy się w wodzie, aby napęczniało 9 gram. karuku, nalewa na tenże tyle wyskoku, o ile potrzeba, ażeby karuk zupełnie był zalany i w cieple rozpuszcza. Osobno rozpuszcza się $4^1/_2$ gram. sproszkowanego mastyksu w $13^1/_2$ wyskoku rekty-

fikowanego, oba roztwory miesza z sobą. do tychże dodaje $4^1/_2$ gramu gummy ammoniakalnej i wkońcu paruje w kąpieli wodnej do odpowiedniej gęstości.

Kit przygotowany w ten sposób przechowuje się w butelkach. Przy użyciu stawia się butelkę do gorącej wody, przez co kit zmięknie i może być z łatwością użyty. Części spojone przyciska się mocno i suszy.

Rozmaitości.

* **Król czerwcowy** (Mottenkönig) jest bardzo piękną i elegancką rośliną, która dla jej wspaniałego wzrostu bywa bardzo piękną ozdobą okien w pokojach, którą niestety rzadko kto hoduje. Mówimy »niestety,« bo ma ona nie tylko bardzo piękny wygląd, ale jest przytem i bardzo użyteczną. Jest ona bowiem najskuteczniejszem lekarstwem, na tyle znienawidzone mole, a znaną z tego powodu powszechnie w języku niemieckim pod nazwiskiem »Mottenkönig.« Gdy bowiem urwiemy kilka listków z onej rośliny, ususzemy je w cieniu i włożymy je pomiędzy bieliznę, ubrania i futra, nie pokaże się tam ani jeden mól — i rzeczy zostaną nieuszkodzone. Pluskwy znikną z łóżek w przeciągu jednej doby, gdy się w szpary łóżek nawpycha onych suszonych liści. Uprzykrzone muchy wylecą co do jednej z pokoju, albowiem nie mogą znieść mocnego zapachu tej rośliny, podobnego do zapachu piżma. — Pewien przyjaciel kwiatów, tak o niej pisze: »Widziałem niedawno w pełnem rozkwiciu krzak »Króla czerwcowego« a przedstawiał się z swemi długiemi łodygami przybranemi w niebieskie kwiatki — bardzo wspaniale, dla tego — kazałem sobie przysłać naraz cały tuzin wysadków, — raz, aby napawać oko ich pięknym widokiem, — a potem, aby z pięknem łączyć i pożyteczne. Król bowiem czerwcowy skutecznym jest nie tylko na wytępienie robactwa, ale ma także być wybornym środkiem na podagrę.

Cierpiący na tę chorobę, winien narwać sporo liścia króla czerwcowego, zawinąć je w szmacik i obłożyć niemi miejsce chore, a skutek ma być prędki i niewątpliwy. We Francyi hodują roślinę tę szczególniej dla znanego perfumu paczuli, który z niej wydobywają. Kultura króla czerwcowego jest taka sama, jak jeraniów, w lecie trzeba dużo podlewania wodą, zimą zaś mało. Nabyć jej można pod adresem. »Vereins-Zentrale Frauendorf (Post Vilshofen in Niederbeyern)« 1 wysadka (flanca) kosztuje 60 fen., 12 sztuk 5 marek. Porcya zaś świeżego nasienia 60 fen. i 1 mk. Wschodzi i rośnie szybko.

* **Skutek kazania.** Ks. Jan Massilion, słynny francuski kaznodzieja, gdy został mianowany przez Ludwika XIV nadwornym kaznodzieją, rozpoczął ten urząd piękną nauką wstępną w pierwszą niedzielę adwentu wobec króla i całego jego dworu.

Po ukończeniu kazania, król, który słuchał go bardzo uważnie, rzekł do księdza Massilona:

— Mój ojcze, w tej kaplicy słyszałem ja już wielu mówców, zawsze atoli byłem z ich mów zadowolony, dzisiaj poraz pierwszy jestem bardzo niezadowolony.

— Niezadowolona Wasza Królewska Mość i dlaczego jeśli wolno spytać — rzekł Massilon.

— Tak — odpowiedział król — ale z siebie samego.

* **Książka z jedwabiu.** We Francyi, w mieście Lyonie, które słynie na cały świat z wyrobów jedwabniczych, utkano książkę do nabożeństwa z jedwabiu. Stronnic w tej książce jest 50, każda z nich jest utkana z białej materyi, a na niej dokładnie widać litery czarne, piękne, wyrobione z całą starannością. Każda stronnica tej książki ma inną ramkę, a jedną piękniejszą od drugiej. Ramki te stanowią pięknie utkane owoce, aniołki, święci, ptaszki i zwierzęta różne, otoczone wieńcami liści najrozmaitszej formy, a więc liści róż, bratków, stokroci, lilii i innego kwiecia, jak gdyby zerwanego wprost z łodyg i ułożonego w tej ślicznej książce ku zdumieniu oglądających. Nie chce się wierzyć, że ten cieniutki niby papier — to jedwab tak cienko i gęsto utkany w krosnach, a i te cudne ozdóbki wyrobione są także z przędzy jedwabnej. Nie brak w tej książce i obrazków świętych. Jest ich tu cztery: Narodzenie Chrystusa Pana, Ukrzyżowanie, Najświętsza Panna Anielska i jeden obrazek przedstawiający pewną chwilę rozmowy o Najświętszym Sakramencie. Wszystkie te obrazki wykonane są podług wzorów najlepszych malarzy. Pierwszy egzemplarz tej niezwykłej książki ofiarowano Ojcu św. Leonowi XIII.

* **Jak się ludzie pozdrawiają.** Myli się ten, kto sądzi, że uścisk dłoni lub pocałunek jest u wszystkich narodów oznaką miłości lub pozdrowienia. Całowanie naprzykład jest wcale nieznane u Australczyków i innych jeszcze ludów świata. I murzyni z Zachodniej Afryki nie cenią go wcale. Oznaki uszanowania także się tam różnią od naszych, — i tak naprzykład w Australii i na niektórych wyspach, przyległych tej części świata, ludzie rozmawiając z osobami wyższego stanu siadają; Chińczyk zaś, na znak szacunku, nie zdejmuje, jak my czapki, lecz przeciwnie, nakłada ją, jeśli miał głowę nieprzykrytą. Kafrowie znów, co mieszkają na południu Afryki, świstaniem okazują swoje uszanowanie. W niektórych okolicach Azyi i Afryki, poddany odwraca się plecami do swego zwierzchnika, chcąc wyrazić swą dłań uniżność; inni jeszcze na znak swej niższości, przykładają dłonie do swego nosa. Podróżni zapewniają, że w jednem plemieniu Eskimosów, które zamieszkuje północne, a więc zimne kraje Ameryki, chcąc okazać łaskawe usposobienie, chwytają się za nos; inne znów narody podczas pozdrowień pociągają się wzajemnie za nosy. Takie to pomiędzy narodami świata są różne zwyczaje. Sprawdza się więc nasze przysłowie, że: co kraj to obyczaj.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.